

Zawsze nie teraz

SZEŚĆ WCIELEŃ. JEDNA HISTORIA.

MICHAŁ RYN

© Copyright by Michał Ryn 2026

Projekt okładki: DRN

ISBN e-book: 978-83-979197-2-3

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2026

Spis treści

WSTĘP	3
PIERWSZY RAZ.....	6
DRUGIE SPOTKANIE.....	54
TRZECIA PRÓBA	98
CZWARTE SPOTKANIE.....	148
PIĄTA PRÓBA	221
OSTATNI ROZDZIAŁ.....	286

WSTĘP

Obudziłem się z pierwszymi promieniami słońca, które przesączały się przez materiał namiotu, barwiąc wnętrze na ciepły bursztynowy kolor. Leżałem w ciszy, wsłuchując się w poranne odgłosy jeziora – plusk wody, szelest trzciny i daleki krzyk ptaka. Było w tym coś mistycznego. Wczoraj cały dzień pływaliśmy po jeziorze. Dookoła tylko woda, lasy i czysty błękit jeziora. Bella drgnęła, mocniej wtulając się we mnie. Odruchowo objąłem ją ramieniem i przycisnąłem do siebie.

- Miałem dziwny sen – powiedziałem po chwili, gładząc jej nagie ramię.

- Ja też – odpowiedziała natychmiast, odwracając się w moją stronę. Opowiedz.

Zamknąłem oczy, próbując odtworzyć obrazy ze snu.

- Szliśmy przez las - zacząłem powoli. – Gęsty, stary, jakby nie naruszany przez wieki. Miałaś na sobie suknię... prostą, surową, bez ozdób... nie wiem, wczesne średniowiecze. Trzymaliśmy się za ręce idąc przed siebie ledwie widoczną ścieżką.

Zrobiłem przerwę.

- Potem nagle wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Był tam tłum ludzi. Stali w milczeniu patrząc na nas. Nagle mężczyźni wyciągnęli miecze i unieśli je do góry.

Otworzyłem oczy.

- A potem nagła zmiana otoczenia. Park. Spokojny, jasny. Ty w bogatej, XVIII-wiecznej sukni. Pięknej, ciężkiej, jakbyś była kimś bardzo ważnym. Nagle ten obraz znika i pojawia się nowy...

Znów widzę ciebie. Stoisz przede mną w pięknej sukni. Za tobą widzę mury miasta i otwartą miejską bramę. Obok niej stoi oddział rycerzy na koniach, czekają na coś. Ty patrzysz na mnie a w oczach masz smutek, żal...

Bella patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby każde słowo trafiało dokładnie tam, gdzie powinno.

– To dziwne... – szepnęła. – Bo mój sen był inny, ale... jakby z tej samej opowieści.

Przytuliła się bliżej.

– Najpierw byliśmy na pustyni. Gorąco, piach, nic dookoła. Ty miałeś na sobie tylko przepaskę na biodrach. Trzymałam cię za rękę. Czuję się bezpieczna.

Jej głos lekko zadrżał.

– Potem nagle był las. Gęsty, mroczny. Stałeś przede mną w skórzanej zbroi, z mieczem w dłoni. Byłeś skupiony. Czujny. Jakbyś wiedział, że coś nadchodzi.

Przetknęła ślinę.

– I wtedy z lasu wyszedł wilk. Ogromny. Czarny. Miał zielone, świecące oczy i białe kły. Bałam się...

Zacisnęła palce na mojej dłoni.

– Zrobiłeś krok przede mnie. Zastonięś mnie sobą. Uniosteś miecz. I wtedy się obudziłam.

Między nami zapadła głęboka cisza, ciężka i gęsta. To nie było już tylko „ciekawostka”. To było coś głębszego, coś co sięgało poza granice racjonalnego zrozumienia. Czuję, jak włosy stają mi dęba na rękach.

– Jeśli wierzyć w reinkarnację... – zacząłem cicho – to nasze dusze właśnie do nas przemówiły. Mówią, że nie jest to nasze pierwsze spotkanie. Że przez wieki... nasze ścieżki się przecinały.

– A ten wilk? – spytała Bella, a w jej głosie słychać było resztki lęku ze snu.

– Nie wiem – odparłem, przyciągając ją bliżej. – Symbol zagrożenia? Przeszkody? A może czegoś w nas samych, z czym musimy się zmierzyć? – Westchnąłem. – Może to symbol. Czegoś, co przyjdzie po ciebie albo po mnie. Albo czegoś, co już w nas jest. Instynkt. Głodu. Chaosu. Zagrożenia.

Bella milczała dłuższą chwilę.

– To dziwne – powiedziała w końcu cicho. – Bo ja w tym śnie nie chciałam uciekać. Chciałam, żebyś tam stał. Między mną a nim

PIERWSZY RAZ

Starożytny Egipt, XIV w. p.n.e.

WYMARSZ

Słońce stało już wysoko nad Waset, gdy Men-ka-Ra przekroczył bramę świątynnego dziedzińca. Kamień pod stopami był nagrany tak, że czuł ciepło nawet przez skórzane sandały – niczym rozżarzony metal, który parzył, choć nie zostawiał śladu. Powietrze drgało, niosąc zapach kadzidła, mirry i potu setek ludzi, którzy każdego dnia przechodzili przez to miejsce. Kaptani w białych szatach sunęli jak cienie, akolici nieśli kosze z owocami i dzbanami wina, tragarze dźwigali kamienne bloki, ich mięśnie napinały się pod skórą, a na twarzach malował się wysiłek. Świątynia żyła własnym rytmem, starszym niż on sam, starszym niż pamięć. Była jak ogromne, wiecznie czuwające zwierzę, którego oddechem był szmer modlitw, a biciem serca – uderzenia młotów w kamień.

Neb-maat-Amon czekał w cieniu kolumn.

Stał nieruchomo, oparty na łasce z hebanu, z głową ogoloną gładko jak kamień ołtarza. Ciężkie złote naszyjniki spoczywały na jego piersi, a pierścienie błyszcząły w półmroku – każde było misternym dziełem, przedstawiającym skarabeusze, oczy Horusa lub symbole anch. Jego białe lniane szaty pachniały mirrą – intensywnie, niemal dusząco, jakby sam zapach miał oczyszczać przestrzeń wokół niego.

Men-ka-Ra zatrzymał się kilka kroków przed nim i uklęknął na jedno kolano. Oparł pięść o ziemię, czując pod palcami drobiny piasku, które zawsze przedostawały się nawet tutaj, do serca porządku.

– Wezwalesz mnie, ojczyźnie świątyni.

Głos miał niski, stonowany, wyćwiczony przez lata wydawania rozkazów, które nie znosiły sprzeciwu.

Kapitan spojrzał na niego długo, jakby nie na twarz, lecz przez nią. Jakby ważył coś, czego Men-ka-Ra nie mógł zobaczyć – może duszę, może przeznaczenie, a może tylko użyteczność.

– Bogowie otwierają szlaki – powiedział w końcu Neb-maat-Amon. Głos miał suchy, pozbawiony barwy, jak szelest zwiędłych liści. – A kiedy to robią, trzeba iść.

Podniósł laskę i wskazał nią południowy wschód, w stronę, gdzie za murami miasta zaczynała się pustynia. Jego dłoń była wychudzona, ale pewna – palce obejmowały heban bez drżenia.

– Wyruszamy do Ta netjer. Do Puntu.

Men-ka-Ra nie drgnął. Nie okazał ani zdziwienia, ani niepokoju. Jego twarz pozostała maską – spalona słońcem, porwana drobnymi bliznami po walkach i treningach, oczy ciemne, głębokie, rzadko zdradzały emocje. Słyszał o Punt. Każdy słyszał. Kraina daleka, wilgotna, pełna zapachów i bogactw. I kraina, z której wielu nie wracało. Opowiadano o chorobach, które skręcały ciała, o zwierzętach z rogami na głowie, o ludziach, którzy nie znali praw bogów i mówili językami, które brzmiały jak szmer wody.

– Przygotujesz oddział – ciągnął kapitan spokojnie. – Dziesięciu ludzi. Najlepszych. Wyruszysz ze mną.

– Kiedy? – zapytał Men-ka-Ra.

– Jutro o wschodzie słońca.

Kapitan obrócił się, jakby rozmowa dobiegła końca. Jego szaty zaszeleściły, a zapach mirry na moment stał się jeszcze bardziej intensywny, zmieszany z kurzem unoszącym się z posadzki.

Men-ka-Ra wstał. Skłonił głowę. Nie zadał ani jednego pytania. Pytania były dla tych, którzy mieli wybór. On wyboru nie miał.

KOSZARY

Plac ćwiczeń przy koszarach był pełen kurzu i krzyku. Południowe słońce prażyło niemiłosiernie, odbijając się od żółtych murów i wysuszonej ziemi. Powietrze drgało od gorąca, a każdy oddech wciągał do płuc pył i pot.

Dziesięciu mężczyzn poruszało się jak jeden organizm. Wtócznie unosili się i opadały w tym samym rytmie, tarcze zderzały się z głuchym łoskotem, miecze cięły powietrze krótkimi, precyzyjnymi ruchami. Byli różni – młodszy, z gładkimi jeszcze twarzami i starsi, z bliznami na całym ciele, śladami wielu bitew i zmarszczkami wokół oczu. Ale teraz, w ruchu, stawali się niemal identyczni – maszynami do walki, przedłużeniem broni, którą trzymali.

Men-ka-Ra ćwiczył razem ze swoimi ludźmi.

Nie stał z boku. Nie wydawał rozkazów z dystansu. Gdy któryś się potknął, poprawiał go jednym spojrzeniem. Gdy ktoś spóźnił ruch – uderzał tarczą tak, że echo niosło się po murach, a winny aż przyklękał z bólu. Nie krzyczał. Jego cisza była głośniejsza niż największy wrzask.

Pot sływał mu po plecach, mieszał się z pyłem, tworząc ciemne smugi na skórze. Jego ciało znało ten wysiłek. Znało go od lat – od chwili, gdy jako chłopiec dostał do ręki pierwszy drewniany miecz i nauczył się, że słabość oznacza ból, a ból – śmierć.

– Jeszcze raz! – rzucił.

Oddział wykonał zwrot, jakby ktoś przeciął powietrze mieczem. Stopa za stopą, ramię przy ramieniu. Nie było w tym gracji, tylko skuteczności. Taka była ich służba.

W końcu uniósł rękę.

– Dość.

Mężczyźni opuścili broń, ciężko oddychając. Piersi im falowały, na twarzach malowało się zmęczenie, ale stali wyprostowani, czekając. Nie pytali. Wiedzieli, że jeśli ma coś do powiedzenia, powie.

Men-ka-Ra spojrział na nich po kolei. Znał ich wszystkich. Wiedział, że Seth ma żonę w połogu i nowo narodzonego syna. Wiedział, że Ramose opiekuje się starą matką, która już nie widzi. Wiedział, że Khety po nocach rzeźbi w drewnie małe ptaszki dla swojej córki. Znał ich lęki, ich marzenia, ich słabości. I wiedział, że za chwilę może wystać ich na śmierć. A oni pójdą za nim.

– Wyruszamy do Puntu – powiedział – jutro o świcie.

Cisza była wprost namacalna. Jakby ktoś nagle zdusił wszystkie dźwięki świata. Tylko odgłosy miasta dobiegały z oddali – szczek psa, krzyk handlarza, płacz dziecka.

– Z Neb-maat-Amonem.

Ktoś przetknął ślinę. Ktoś inny spuścił wzrok. Imię kaptana nie wróżyło nic dobrego. Wyprawy z jego udziałem były rzadkie, ale zawsze oznaczały coś ważnego – i zawsze zbierały żniwo.

– Wiecie, co to znaczy – ciągnął Men-ka-Ra. Nie podnosił głosu. Nie musiał. – Nie wszyscy wracają z Puntu.

Przeszedł wzrokiem po twarzach. Widział napięte szczęki, zaciśnięte pięści. Ale nie widział buntu. Byli żotnierzami. Przyzwyczajonymi do rozkazów do ryzyka.

– Macie czas do świtu. Pożegnajcie się z rodzinami. O świcie wyruszamy spod świątyni. W pełnym rynsztunku.

Jeden z wojowników, starszy, z blizną na policzku, który ciągnęła się aż do ucha, zapytał cicho:

– A ty, dowódco?

Men-ka-Ra zawahał się ułamek sekundy. To było prawie niezauważalne – tylko lekki skurcz mięśnia przy oku. Ale on wiedział, że zawahał się po raz pierwszy od wielu miesięcy.

– Ja będę na was czekał przy świątynnej bramie – a już w myślach dodał - nie mam się z kim żegnać.

IZBA Men-ka-Ra

Jego izba była mała. Jak cela. Kamienne ściany, bez ozdób, bez malowideł. Wąskie okienko wysoko pod sufitem przepuszczało smugę światła, która kładła się na podłodze jak blady dywan. Mata do spania, zwinięta w rogu. Broń oparta o ścianę – khopesh z zakrzywionym ostrzem, włócznia z ostrym brązowym grotem, drewniana tarcza z mosiężnym okuciem. Nie miał amuletów, nie miał nic ponad to co niezbędne do walki. Nic, co świadczyłoby o przeszłości. Jakby wszedł tu wczoraj i miał wyjść jutro.

Men-ka-Ra usiadł na macie i przez chwilę patrzył w pustą przestrzeń. Jego oddech był równy, spokojny, ale w środku czuł coś, czego nie potrafił nazwać. Niepokój? Oczekiwanie? Nie. To było coś

głębszego. Jakby całe jego dotychczasowe życie było tylko przygotowaniem do czegoś, co miało nadejść.

Kaptani mówili, że został znaleziony. Że pustynia oddała go Świątyni. Od tego czasu minęło dziesięć lat. Tylko tyle wiedział. Nie znał imienia matki. Nie znał ojca. Nie wiedział, skąd pochodzi. Czasem, w snach, widział piasek. I cień – wysoki, pochylający się nad nim. Ale to mogło być wszystko – prawda, złudzenie, pragnienie.

Mimo tych lat wciąż czuł się obco w Luksorze. Był wyższy niż inni. Miał jaśniejszą skórę, która pod słońcem nabierała złotobrazowego odcienia, ale nigdy nie ciemniała tak jak u innych Egipcjan. Jego kości były masywniejsze, rysy twarzy ostrzejsze. Był inny. Ale przez lata zastąpił sobie na szacunek swoją odwagą i determinacją. A od dwóch lat Ojciec Świątyni Neb-maat-Amon uczynił go dowódcą wszystkich wojowników świątynnych. To nie była łaska. To była logika – Men-ka-Ra był najlepszy. I nie miał innego życia.

Przed pierwszym brzaskiem założył skórzany napierśnik. Zapinał rzemienie powoli, dokładnie, jak zawsze. Sprawdził ostrze khopesza. Przesunął palcem po krawędzi – gładkiej, ostrej, gotowej. Potem dotknął grotu włóczni. Wszystko było na swoim miejscu. Broń była przedłużeniem jego ciała. Czasem myślał, że to jedyna część jego tożsamości, która była prawdziwa.

Był gotowy.

WYMARSZ

O świcie dziedziniec wypełnił się ludźmi, choć „wypełnił” to za dużo powiedziane. Było ich kilkunastu – oddział Men-ka-Ra, kilku akolitów, tragarze z lektyką czekający na Kaptana. Reszta świątyni jeszcze spała lub może modliła się w swoich komnatach.

Wschodnie niebo było bladoróżowe, jak muszla, a pierwsze promienie słońca dopiero muskały szczyty kolumn.

Oddział Men-ka-Ra stał w szeregu, uzbrojony, skupiony. Każdy z nich miał przy sobie nie tylko broń, ale i mały woreczek z amuletami – z wizerunkami ich bogów. Men-ka-Ra nie nosił żadnych. Nie wierzył, że kawałek kamienia lub metalu może zmienić przeznaczenie. To on sam je tworzył. Swoją wolą, determinacją, postuszeństwem i siłą.

Neb-maat-Amon pojawił się w wielkich drzwiach świątyni. Był owinięty w białe płótno, tylko twarz wystawała – gładka, kamienna, z przenikliwymi oczami. Obok niego szli akolici, cisi jak cienie, z głowami pochylonymi, jakby nawet teraz, przed wschodem słońca, odmawiali modlitwy.

Kapitan spojrzał przelotnie na Men-ka-Ra i jego oddział. Skinął tylko głową, ledwie dostrzegalnie.

Padł rozkaz. – Idziemy.

I tak się zaczęło.

DROGA DO MORZA

Pustynia Wschodnia była bezlitosna. Nie była piękna, nie była wzniosła. Była po prostu pusta. Wszędzie niekończące się wydmy żółtego lub brązowego piasku, z którego czasem wystawały wielkie głazy, które wyglądały jak kości olbrzymów, pogrzebane w ziemi. Cisza była tak głęboka, że aż dzwoniła w uszach. A nad wszystkim panowało słońce – bezlitosne, ślepe, gotowe wypalić wszystko, co żywe.

Men-ka-Ra prowadził oddział pewnie, oszczędzając siły, pilnując wody. Szedł na czele, jego kroki były miarowe, jak uderzenia bębna. Za nim szli tragarze niosący lektykę z kapłanem, otoczoną przez akolitów, a na końcu – jego oddział, rozglądający się czujnie. A wokół tylko piasek. I więcej piasku.

Dni zlewały się w jedno. Wstawali przed świtem, szli, aż słońce stało w zenicie, potem odpoczywali w cieniu rozpiętych płócien, by ruszyć znów, gdy żar nieco zelżał. Wiezorami rozpalali małe ogniska z suchego tamaryszku, a płomienie tańczyły na tle czarnego nieba, pełnego gwiazd tak gęstych, że aż się mieniły.

Men-ka-Ra rzadko rozmawiał. Obserwował. Widział, jak Seth co wieczór wyjmuje z sakwy maty amulet w kształcie oka i szepce do niego, pewnie prośby o opiekę dla żony i syna. Widział, jak Ramose dzieli się swoją porcją suszonych fig z Khetym, który miał zawsze większy apetyt. Widział, jak młodsi z oddziału zerkają w stronę lektyki kapłana z nieukrywanym lękiem. A Neb-maat-Amon? Kapłan prawie nie wychodził z lektyki. Jego posiłki podawano mu przez zastonę, a modlitwy odmawiał półgłosem, niewidzialny dla reszty.

– Daleko jeszcze? – zapytał któregoś dnia Khety, gdy zatrzymali się na krótki odpoczynek.

Men-ka-Ra spojrzął na horyzont, gdzie niebo stykało się z ziemią w drgającej, rozmytej linii.

– Kilka dni – odparł. – Morze i port z Ghalib powinno być już blisko.

– A co potem? – dopytywał Seth. – Płyniemy z Kapłanem?

– Płyniemy.

Seth pokiwał głową, ale w jego oczach był niepokój. Był zrodzonym w Luksorze, nigdy nie widział morza. Dla niego woda to był Nil – szeroki, spokojny, przewidywalny. Morze było opowieścią. I jak

większość z nich pełne było zagrożeń i potworów. Wszystko mogło skończyć się źle.

Pięć dni później zobaczyli błękit zlewający się z niebem. Najpierw tylko smugę, cienką jak nitka, potem coraz szerszą, aż w końcu cały horyzont stał się niebem i wodą, bez podziału.

Men-ka-Ra przystanął. Oddział zatrzymał się za nim. Nawet tragarze z lektyką stanęli, wpatrując się w ten widok.

Morze.

Men-ka-Ra był zachwycony, choć nie okazywał tego. Po raz pierwszy zobaczył taki bezmiar wody. Bezkresy jak pustynia, ale jakże inny. Pustynia wypalała, morze przynosiło ukojenie. Wiatr niósł stony, wilgotny zapach, mieszając go z zapachem piasku i gorącego kamienia. To był zapach wolności. I zagrożenia.

PORT GHALIB

Ghalib pachniał solą i rybami, ale też czymś więcej – życiem, ruchem, obcością. Port był mały, ale tętniący energią. Drewniane pomosty wbijały się w wodę jak palce, a przy nich kotowały się statki – niektóre małe, z jednym żaglem, inne większe, z wysokimi masztami, na których powiewały barwne płótna. Wszędzie kręcili się ludzie – marynarze o opalonych, pomarszczonych twarzach, handlarze krzyczący ceny, tragarze dźwigający skrzynie i worki. Języki mieszały się – egipski, nubijski, inne, których Men-ka-Ra nie rozpoznawał.

– Zbiórka – rzucił, gdy tylko weszli do portu.

Oddział ustawił się natychmiast, tworząc zwarty krąg wokół lektyki kapłana. Ludzie w porcie rzucali im ciekawe, czasem nieufne spojrzenia. Wojownicy świątynni nie byli tu codziennym widokiem.

Men-ka-Ra poprowadził oddział do największego statku z symbolem ich świątyni na żaglu, przy którym stał starszy mężczyzna z siwiejącą brodą i twarzą poraną zmarszczkami.

– Kapitan Hori? – zapytał.

Mężczyzna skinął głową, patrząc na niego bystrymi, nieco przymrużonymi oczami.

– Tak. A ty musisz być Men-ka-Ra, wojownik, o którym mówił postaniec.

– Statek jest gotowy?

– Gotowy od wczoraj. Czekamy tylko na was. Wprowadź oddział. Wyptywamy z przyptywem, przed zmierzchem.

Men-ka-Ra skinął głową. Odwrócił się do swoich ludzi.

– Ładujemy. Ostrożnie. Zadbać o broń i zbroje. I zawsze ma być pod ręką.

Statek nazywał się „Fala Amona”. Był solidnie zbudowany, z wysokim dziobem rzeźbionym w kształcie głowy sokola. Men-ka-Ra wszedł na pokład po raz pierwszy w życiu. Drewno pod stopami wydawało się dziwnie niestabilne, kotysało się lekko, nawet gdy statek stał przy nabrzeżu. Poczut nagły przyptyw dezorientacji, ale szybko go opanował. To tylko kolejny teren. Tylko inny rodzaj walki.

PODRÓŻ

Morze nocą było czarne i gładkie jak obsydian, a księżyc kładł na nim srebrną ścieżkę, która zdawała się prowadzić donikąd. Dni mijały w

ciszy, przerywanej tylko skrzypieniem drewna, szumem wody i krzykiem mew, które czasem towarzyszyły statkowi, krążąc wysoko nad masztami.

Men-ka-Ra pilnował dyscypliny. Broń była czyszczona codziennie, ćwiczenia odbywały się na wąskim pokładzie – choć były to raczej szermiercze pozy niż prawdziwe walki. Dyscyplina. To było kluczowe. Dyscyplina utrzymywała strach na dystans.

Ale wieczory uwielbiał spędzać na rufie obok kapitana, starego żeglarza o imieniu Hori. Kapitan palił fajkę wypełnioną aromatycznym tytoniem i patrzył na horyzont, jakby tam, gdzie niebo spotykało się z wodą, było coś więcej niż tylko pusta przestrzeń.

– Świat jest większy niż twoje mury, wojowniku – powiedział pewnego wieczoru, wypuszczając kłęby dymu. – A morze zawsze bierze, zanim odda.

– Co masz na myśli? – zapytał Men-ka-Ra.

Hori uśmiechnął się, ukazując zęby starte od lat gryzienia twardego solonego mięsa.

– Mówię, że morze nie jest jak pustynia. Na pustyni wiesz, co cię zabije – brak wody, słońce, czasem zwierzę. Na morzu... ono samo decyduje. Może być spokojne jak dziecko, a za chwilę wściekłe jak bóg. I nigdy nie wiesz, dlaczego.

Men-ka-Ra słuchał w milczeniu. Hori opowiadał mu o portach, które widział – o Byblos, gdzie cedry sięgały nieba, o Krecie, gdzie ludzie tańczyli z bykami, o dalekich krainach, gdzie skóra ludzi była tak ciemna, że prawie czarna, a niebo w nocy zdobyły gwiazdy nieznanne w Egipcie. Po raz pierwszy Men-ka-Ra poczuł, że świątynia nie jest całym światem. Że jego świat może być czymś więcej niż służbą i walką.

Nie wiedział jeszcze, że morze już wybrało, co mu odbierze.

PUNT – SPOTKANIE

Ta Netjer

Statek wpłynął do portu o świcie, przecinając mgłę, która unosiła się nad wodą jak duch. Men-ka-Ra stał na dziobie i patrzył, jak łąd wyłania się z tej białej zasłony. Nie był to obraz znany z murów Waset ani z malowideł świątynnych. Punt nie witał ciszą ani porządkiem. Witał ruchem, chaosem, życiem tak gęstym, że aż dusiło.

Już z daleka słyszał krzyki. Głosy w językach, których nie znał – gardłowe, melodyjne, ostre. Śmiech, nawoływania, uderzenia drewna o drewno, szczęk metalu. Zapach morza mieszał się z czymś ciężkim, słodkim, obcym – kadzidłem, żywicą, przyprawami, których woń była tak intensywna, że kręciło się w głowie.

– Zbiórka! – rzucił krótko, kiedy statek rzucił cumy.

Oddział ustawił się natychmiast. Tarcze na ramionach, włócznie w dłoniach, twarze skupione, ale w oczach widać było ciekawość, pomieszaną z niepokojem. Kapłan i akolici zeszli na łąd pierwsi, oddział Men-ka-Ra ostaniał ich z obu stron, tworząc żywy korytarz przez tłum. Men-ka-Ra szedł tuż obok Neb-maat-Amona, uważny, skupiony, gotowy na wszystko.

Port był żywym organizmem, pulsującym własnym rytmem. Ludzie o skórze czarnej jak noc i jasnej jak piasek, niscy i wysocy, w luźnych szatach z barwionego lnu i ciasnych przepaskach ze skóry. Kobiety z dziećmi przywiązanymi do pleców chustami, mężczyźni z nożami przy pasach, handlarze krzyczący ceny, niewolnicy dźwigający ładunki, których wagę widać było po wygiętych plecach. Zwierzęta –

kozy beczące, psy szczekające, ptaki w klatkach śpiewające dziwne pieśni. Każdy wyglądał inaczej. Każdy poruszał się własnym rytmem.

W Waset każdy znał swoje miejsce. Tutaj nikt nie wyglądał, jakby komukolwiek je oddał.

Targ ciągnął się w głąb miasta, wąskimi uliczkami wyłożonymi kamieniem, który był gładki od tysięcy stóp. Stragany ugięły się od towarów: heban czarny jak smoła, kość stoniowa biała jak zęby księżycy, worki z przyprawami – czerwony pieprz, żółta kurkuma, zielone liście, których nazw Men-ka-Ra nie znał. Żywica pachniała tak intensywnie, że aż drażniła nozdrza. Kolory raziły oczy – czerwień tak głęboka, że aż purpurowa, żółć jasne jak słońce, zielenie soczyste jak liście po deszczu, błękity nieba tuż przed zmierzchem. Tkaniny falowały na wietrze jak skrzydła ptaków, a klejnoty błyszcząły w słońcu, rzucając iskry.

Men-ka-Ra czuł, jak coś w nim się porusza. To nie była ciekawość. Raczej... uświadomienie. Świat był większy niż myślał. I ta myśl była jednocześnie przerażający i pociągający.

– Trzymajcie szyk – powiedział nisko do ludzi. - Czując, że sam się rozprasza.

Wiedział, że tu wystarczy chwila nieuwagi, by tłum ich pochłonął.

Zakar-El czekał na nich w cieniu rozpiętego baldachimu z czerwonego jedwabiu, który rzucał krwistą plamę na ziemię. Był wysoki i chudy, jak trzcina, z twarzą pociągłą i bystrymi oczami, które zdawały się widzieć wszystko naraz. Jego skóra była ciemna, lśniąca od olejków, które pachniały kwiatami i drewnem. Włosy miał zaplecione w cienkie warkocze, opadające na ramiona jak węże. Długie szaty z barwionej tkaniny poruszały się przy każdym kroku, a bransolety na nadgarstkach – z kości stoniowej, muszli i metalu – cicho dzwięczały, jakby grały muzykę tylko dla niego.

– Neb-maat-Amon – powiedział, skłaniając się z przesadną gracją, która mogła być jednocześnie szacunkiem i kpinią. – Punt zawsze raduje się widokiem wystannika bogów.

Kapitan skinął głową, nie okazując po sobie, czy dostrzega tę dwuznaczność.

– Zobaczymy, czy bogowie będą zadowoleni z twoich towarów.

Rozmowa potoczyła się szybko, ale nie gładko. Targowanie było rytuałem – słowa, spojrzenia, gesty, pauzy, które mówiły więcej niż zdania. Zakar-El pokazywał mirrę w złotych naczyniach, kadzidło w srebrnych puzdrach, czarny heban, złote naszyjniki ciężkie od kamieni. Kapitan oglądał wszystko z obojętnością kogoś, kto nie płaci własnym złotem, ale i tak wie, że zapłaci każdą cenę.

Men-ka-Ra obserwował tłum. Ręce, które mogły chwycić za nóż. Twarze, które mogły skrywać zdradę. Ruchy, które mogły być atakiem. Jego oddział oddzielał ten tłum od kupca i kapłana, ale czuł, że ta granica jest krucha.

W końcu, gdy wszystko wydawało się ustalone, Zakar-El uniósł dłoni, a jego bransolety zadźwięczały głośniejsze.

– Jest jeszcze jedna rzecz, święty mężu – powiedział cicho, ale tak, by słyszał każdy stojący blisko. – Nie towar. Raczej... znak.

Kapitan spojrzał na niego uważniej, a w jego oczach zapaliła się iskra zainteresowania.

Kupiec skinął głową w stronę ciemnego wejścia do budynku za baldachimem – niskiego, z kamienia, z zastoną z grubego płótna.

– Morze oddało ją po sztormie – zniżył głos, jakby dzielił się tajemnicą. – Znaleźliśmy ją na plaży. Żywą. Ale nie taką, jak inne.

Men-ka-Ra poczuł niepokój, choć nie wiedział, dlaczego. To było uczucie instynktowne, głębokie, jakby coś w jego krwi zareagowało na te słowa.

Wnętrze domu Zakar-Ela było chłodne i ciemne, pachniało solą, drewnem i czymś jeszcze – może strachem, może nadzieją. Kupiec przeszedł kilka kroków w głąb izby, gdzie światło z zewnątrz ledwie docierało i zatrzymał się.

– Pokaż się – powiedział cicho, ale ton nie był prośbą. Był rozkazem.

I wtedy ona wyszła z cienia.

Men-ka-Ra zauważył ją natychmiast – zanim zdążył pomyśleć, zanim zdążył zarejestrować szczegóły. Była wyższa niż miejscowe kobiety, smukła, ale nie wątła. Jej skóra była jasna, niemal alabastrowa, jakby słońce nie miało do niej dostępu, jakby całe życie spędziła w cieniu. Włosy, długie i ciemne, opadały swobodnie na ramiona, falując naturalnie, bez upiększeń. Oczy... jasne. Szaro-zielone, jak woda przy brzegu, gdzie miesza się z piaskiem. Patrzyły wprost. Bez lęku, ale też bez wyzwania. Były po prostu uważne.

Nie miała biżuterii. Nie miała żadnych znaków – żadnych tatuaży, blizn, ozdób. Jej tunika była prosta, podarta w kilku miejscach, brudna od piasku i soli. Stała nieruchomo, ale czuć było w niej napięcie – jak zwierzę, które nie wie jeszcze, czy uciekać, czy atakować.

Zapach, który od niej bił, był inny. Nie mirra, nie olejki, nie pot. Sól. Wiatr. Zapach morza i czystości, jakby była zrobiona z tych samych elementów co fale.

– Nie znam jej imienia – powiedział Zakar-El. – Nie chce go zdradzić. Mówi niewiele. – Uśmiechnął się cienko, ukazując zęby białe jak kość słoniowa. – Ale to nie jest zwykła niewolnica.

Jednym ruchem, szybkim i brutalnym, zerwał z niej podartą tunikę. Płótno opadło na ziemię z cichym szelestem.

Ona stanęła naga, ale wciąż z uniesioną głową. Nie próbowała zakryć się rękami. Nie drżała. Jej ciało było smukłe, ale silne, z wyraźnymi mięśniami na ramionach i nogach, jak u kogoś, kto wiele chodził, wiele walczył? Skóra bez skazy, bez blizn, bez śladów po biczach czy kajdanach. Była... doskonała. I obca.

Kapitan podszedł bliżej. Okrążył ją powoli, jakby oglądał posąg, a nie żywą istotę. Jego oczy wędrowały po jej kształtach, szukając wad.

– Bez skazy – mruknął w końcu. – Bogowie lubią czystość.

Ona nie odwróciła wzroku. Nie spojrzała na kapitana. Jej oczy, przez ułamek sekundy, spoczęły na Men-ka-Rze. I w tym spojrzeniu nie było prośby. Nie było nawet ciekawości. Było... coś innego. Nie potrafił określić co, ale... zapadło w nim głęboko to nie określone odczucie.

– Dobrze, kupuję ją – powiedział Neb-maat-Amon, odwracając się do Zakar-Ela. – Dobrze zrobisz, że zatrzymasz ją dla mnie.

Zakar-El skinął głową, a w jego oczach błysnęło zadowolenie – handlarz, który wie, że sprzedał coś wyjątkowego.

Kapitan odwrócił się do Men-ka-Ra.

– Ona musi trafić do świątyni – jego głos był chłodny, rzeczowy, jakby mówił o transportowaniu skrzyń z kadzidłem. – Masz tego dopilnować osobiście.

Men-ka-Ra skinął głową, choć w środku coś się sprzeciwiało.

– Tak, ojcze.